

## ZOFIA WEISER ur. 1918; Lublin

<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Wojna i okupacja
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; II wojna światowa
<b>Słowa kluczowe</b>	Liege Cazeres sur Garonne Lyon szewc Bogusław Arinthot Tuluz Orgelet początek wojny lata okupacji Francja

### Wojna i okupacja

Mnie osobiście wojna zastała w Belgii, gdzie studiowałam. Pamiętam, że w dniu niemieckiej inwazji, 10 maja 1940 r., gdy przebywałam w Liege, a to było całkiem niedaleko od niemieckiej granicy, w szkole wezwano nas - wszystkich studentów z Polski oraz w ogóle wszystkich cudzoziemców i nakazano nam wyjazd do Francji, ponieważ przebywanie w Belgii mogło się okazać dla nas bardzo niebezpieczne. Kazano nam wyjeżdżać jak najszybciej, ponieważ miały być zniszczone mosty. Rzeczywiście, już wtedy trwały bombardowania. Do Francji wyjechaliśmy z mężem ostatnim pociągiem. Potem już nie było takiej możliwości.

Dotarliśmy na południe Francji, do Haute Garonne, do miasteczka Cazeres sur Garonne. Tam przebywaliśmy przez dwa miesiące u bardzo dobrych i ofiarnych, ale przy tym bardzo biednych ludzi. Karmili nas ze swoich zapasów, a nie mieli ich zbyt wiele, ponieważ posiadali jedynie niewielki ogródek. My sami zaś nie mogliśmy jako obcokrajowcy podjąć żadnej pracy. Nie mogliśmy też pozostać u tych ludzi, bo przecież nie stać ich było na nasze utrzymanie. Zdecydowaliśmy się więc wyjechać do Lyonu, przede wszystkim po to, żeby skończyć studia. Niemców jeszcze wtedy tam nie było. Była to tak zwana strefa Vichy. Mąż dokończył rok studiów w Lyonie, ja zaś nauczyłam się pisać na maszynie i z tego powodu mogłam zarabiać. Przepisywałam prace studenckie za pieniądze. W naszym domu, na I piętrze, mieszkała także rodzina Gastona i Eugenie Spiegel wraz z trójką dzieci. Byli francuskimi Żydami, pochodzącymi z Alzacji, z której uciekli z obawy przed Niemcami. Wiadomo, że Niemcy czyhali tylko na Alzację i Lotaryngię, gdy wkraczali do Francji. Rodzina ta zaprzyjaźniła się z nami i bardzo zaopiekowała. Muszę przyznać, że ich opieka miała wiele z delikatności i dyskrecji. Nigdy nie przypominali nam wprost naszej biedy i jednocześnie dbali o to, by niczego nam nie brakowało. Gaston Spiegel pracował przed wojną jako przedstawiciel znanej firmy winiarskiej, więc z tego powodu posiadał wiele kontaktów z francuską wsią i jej mieszkańcami, zwłaszcza z tymi, którzy uprawiali winorośl. Z wieloma z tych ludzi zaprzyjaźnił się i to teraz zaowocowało tym, że ludzie ci przysyłali Spiegłom bardzo bogate paczki. Pani Spiegel zawsze podsuwała nam coś z tych paczek. Zawsze były to jakieś smakołyki. Robiła to w tak delikatny sposób, że nie potrzebowałam się wstydić, że to jest jakaś jałmużna. Paczki zawsze otwierała przy mnie i zawsze sugerowała jakiś smakołyk.

Od 1941 r. życie zaczęło się mocno komplikować i sytuacja była wręcz krytyczna. Mieszkaliśmy w tragicznych warunkach mieszkaniowych. Mieszkanie na przedmieściach Lyonu, w nieciekawej dzielnicy, gdzie żyli ubodzy ludzie, prostytutki. Sam dom pozbawiony był kanalizacji. Wodę trzeba było przynosić z zewnątrz. Ja chodziłam bardzo elegancko ubrana, wciąż posiadałam swoje futra, przywiezione z domu. Na nogach nosiłam eleganckie buty od najlepszego szewca z Lublina, Bogusława, który swój zakład posiadał przy Krakowskim Przedmieściu. Był to prawdziwy artysta wśród szewców. W domu miałam biżuterię mojej matki i dolary od rodziców. Tych ostatnich, w czasie wojny we Francji w ogóle nie powinnam mieć, bo to było zabronione. Cały mój wygląd, bardzo eleganckiej kobiety w mało eleganckiej dzielnicy był bardzo mocno podejrzany, a ja nie miałam nawet pieniędzy, żeby kupić coś mniej sztywnego. Dolarów nie mogłam ruszyć, ponieważ nie można ich było sprzedać. Mąż mój pracował wtedy jako dziennikarz dla polskiej prasy.

W południowej Francji nie nosiliśmy gwiazd Dawida, a w naszych paszportach nie było żadnej informacji o tym, że jesteśmy Żydami. Była jedynie informacja, że byliśmy obywatelami polskimi. Jednakże byliśmy zarejestrowani we francuskich rejestrach i tam znajdowała się informacja o naszym pochodzeniu żydowskim. Poza tym wiedzieli o tym Francuzi i oni donosili Niemcom. W tym właśnie roku zaczęły się łapanki, ogłoszono godzinę policyjną. W czasie jednej z takich łapanek, już w 1942 r., zostałam pochwycona również i ja. Oczywiście, w tym swoim eleganckim ubraniu. Wylądowałam na ciężarówce wraz z innymi osobami, wyglądającymi zdecydowanie mniej zamożnie. Wśród nich były także prostytutki. Stałam przed niemieckim oficerem, który bacznie przyglądał mi się. Przejrzał także moje dokumenty i w tym momencie zapytał mnie, co ja właściwie robię pomiędzy tymi kobietami. Popatrzył na moje panieńskie nazwisko - Gryzolet, które brzmiało dla niego bardzo po francusku i on zaczął mi tłumaczyć, a tym samym ratować, ponieważ ja sama byłam za bardzo przerażona. "Pani nazwisko jest francuskie i pani jest Francuzką". Ja nic się nie odzywałam, tylko osłupiała z przerażenia słuchałam, gdy on zaczął dalej mi tłumaczyć, że moja mama musiała być Francuzką, która przypadkowo znalazła się w Polsce i w Lublinie, gdzie mnie urodziła. Na koniec stwierdził: "Pani jest wolna. Jest pani zbyt ładna, żeby tam jechać. To nie jest miejsce dla pani." - pocałował mnie w rękę i wypuścił. Ten transport, który wtedy formowano, najprawdopodobniej skierowany został wtedy do Oświęcimia.

Nasza sytuacja z każdym rokiem pogarszała się. Wiosną 1942 r. jeszcze łudziliśmy się, że wojna wkrótce się skończy, ale było inaczej. Modliliśmy się wręcz do Ameryki, żeby w końcu ruszyła się. Cała Europa była pod okupacją niemiecką. Anglicy nie byli w stanie nam pomóc, jedynie Ameryka. Nie wiedzieliśmy wtedy, że Amerykanie nie byli jeszcze przygotowani do inwazji.

Pewnego dnia musiałam wyjść do miasta. Gdy wracałam do domu zauważyła mnie konsjerżka [dozorczyni, od fr. concierge - dozorca] i zatrzymała, prosząc bym weszła do jej mieszkania. Tu wyjaśniła mi, że podczas mojej nieobecności w naszym mieszkaniu byli francuscy milicjanci i gestapowcy. Wynieśli z mieszkania prawie wszystko - wszystkie futra, oprócz tego, które miałam na sobie, biżuterię, a nawet dolary. Konsjerżka musiała to widzieć, skoro wiedziała, że zabrali nawet dolary. Zabrali mi nawet osobistą bieliznę. Prawdopodobnie wszystkie te rzeczy porzadzali później swoim kochankom. Ja natomiast zrozumiałam, że dłużej nie możemy pozostawać w tym mieszkaniu. Wszłam tam i jedyne co zostało to rodzinne fotografie i ten wieszak z nazwą firmy mojego ojca, o którym już opowiadałam. Zostałam w tym, co miałam na sobie i dodatkowo zostawili mi jedną zmianę bielizny, jakieś drobne rzeczy. W mieszkaniu nie mogłam zostać już nawet na noc. Te rzeczy, które mi zostały, przekazała mi właśnie konsjerżka.

My nie wiedzieliśmy wtedy, dokąd odchodzą transporty z deportowanymi, ale człowiek

podświadomie bał się ich. O Oświęcimiu dowiedzieliśmy się dopiero w 1944 r. Niemcy rozpuszczali o losie deportowanych fałszywe informacje. Jeszcze w 1941 r. nie myśleliśmy o deportacji. Poza tym nie łapano wtedy kobiet. Brali mężczyzn, nawet starszych. Prawdziwe łapanki zaczęły się dopiero w 1942 r. Objęły one nawet Vichy, ale o losie złapanych ludzi nie rozmawiało się. Przynajmniej ja z nikim na ten temat nie rozmawiałam, ponieważ nie miałam zaufania do ludzi. Oprócz tego mówiłam z obcym akcentem, a to automatycznie mogło być podejrzane. Wiem natomiast, że inni coś tam rozmawiali, co mogło stać się z tymi, których wywieziono. Rozmawiali o tym ludzie w kolejkach przed sklepami.

W tym czasie urwały się całkowicie wiadomości z Polski. To, co działo się z moją rodziną, cała ta tragedia, była mi znana dopiero po wojnie, gdy udało mi się po wielu staraniach odnaleźć tych, którzy przeżyli, w Niemczech w 1945 r. Po wyzwoleniu mieszkałam w Tuluzie, gdzie w latach 1946-1947 pełniłam funkcję polskiego konsula, a dokładniej można to określić, że zastępowałam go i wprowadzałam w obowiązki, ucząc wszystkiego, łącznie z dyplomatycznym zachowaniem się. Zostałam tym konsulem, ponieważ we Francji nie było zbyt wielu osób, które znałyby jednocześnie język polski i francuski i miały odpowiednie wykształcenie. W rzeczywistości konsulem miał być pan A., górnik ze Śląska, prosty człowiek, który nigdy nie miał nic wspólnego z dyplomacją i oczywiście, nie znał kodeksu dyplomatycznego i związanych z nim reguł zachowania się. Był przed wojną zwykłym robotnikiem. Mieszkał przedtem we Francji, wrócił do Polski, gdzie ożenił się z Żydówką o imieniu Maryla, a następnie objął stanowisko konsula w Tuluzie. Maryla pochodziła z kulturalnego domu. Szybko dogadałyśmy się ze sobą. Była bardzo zadowolona z kontaktu ze mną. Natomiast pana A. trzeba było uczyć wszelkich podstaw. Pamiętam jego pierwsze oficjalne przyjęcie, podczas którego miał wygłosić toast. To już było po kilkumiesięcznej mojej szkole. Nawet wtedy uciszał gości bardzo głośno i niewłaściwym tonem, wręcz krzycząc na nich. W rzeczywistości był to bardzo dobry człowiek i sympatyczny. Pamiętam, że gdy odchodziłam już z pracy w konsulacie, obydwój z żoną żegnali się ze mną bardzo ciepło. Zorganizowano nawet wspaniałe przyjęcie pożegnalne.

Muszę tu dodać bardzo krótko, że gdy pracowałam w konsulacie, wykorzystałam ten fakt do pomocy innym ludziom. Wydawałam paszporty tym, którzy nie chcieli wracać do Polski lub wyemigrować z Europy. Nie było to oczywiście zgodne z prawem, ale wtedy tyle osób potrzebowało takiej pomocy, że nie byłam w stanie odmówić. Trwało to jednak bardzo krótko. Pewnego razu mój mąż został wezwany do niemieckiej komisji, by zostać zarejestrowanym na tak zwane dobrowolne roboty na rzecz Niemców. By się zarejestrować należało udać się do komisariatu Villeurbanne koło Lyonu. Tam policjanci mieli także zadecydować, czy praca ta ma być wykonywana na terenie Francji, czy też mąż mój zostanie wysłany do Niemiec. Byłam zdecydowana pojechać wraz z nim. Razem z nami poszła pani Spiegel, która posiadała obywatelstwo francuskie. Na komisariacie było już wielu mężczyzn, w tym bardzo wielu Francuzów, to znaczy byli to Żydzi, posiadający francuskie obywatelstwo. Słyszało się wśród nich dyskusje, że w pierwszej kolejności do pracy dla Niemców powinni pójść cudzoziemcy, Żydzi przybyli z innych państw. W zasadzie nie dziwiłam się tym nastrojom. Gdy przyszła nasza kolejka, to z policjantem rozmawiałam w zasadzie tylko ja, chociaż sprawa dotyczyła mojego męża. Powiedziałam wtedy francuskiemu urzędnikowi, który decydował o przydziale do niemieckiej komisji, że jestem zdecydowana udać się na roboty razem z moim mężem. Urzędnik, osłupiały z wrażenia, stwierdził, że taka możliwość nie istnieje i że do pracy wysyłani będą tylko mężczyźni. Ja byłam uparta i przez cały czas powtarzałam mu, że albo jedziemy razem albo wcale. Wtedy stała się rzecz zaskakująca - urzędnik, argumentując, że na roboty jadą tylko mężczyźni, ja zaś nie mogę towarzyszyć mojemu mężowi, ponieważ jest to wbrew przepisom, zwolnił nas obydwój! Zaraz potem załatwiłam dodatkowo u pewnego lekarza fałszywe

zaświadczenie, że mój mąż jest chory i tym samym niezdolny do pracy. W ten sposób dano nam spokój z robotami dla Niemców.

Po najściu policji i Niemców na nasze mieszkanie, cały dzień chodziliśmy z mężem po mieście. Po prostu włączyliśmy się, nie wiedząc, co ze sobą począć i dokąd pójść. Zbliżała się już godzina policyjna i nie mogliśmy zostać na ulicy. Już myśleliśmy, że będziemy nocować gdzieś pod mostem. Nagle stanęliśmy przed budynkiem Amitie Chretien - Związku Chrześcijańskiego - i wtedy pomyślałam, że jest to jedyne miejsce, gdzie możemy dostać jakąś pomoc. Przynajmniej może nas tutaj przenocują. Trafiliśmy doskonale. Szefem tej organizacji był ksiądz Aleksander Glasberg. Okazało się, że był to ukraiński Żyd, który ochrzcił się i został katolickim księdzem. Tak to zdarza się, że powołanie przychodzi do różnych ludzi. On nas uratował i dzięki niemu żyję. Przesiedzieliśmy tam całą noc, a raniem mieliśmy już przygotowane fałszywe dokumenty. Ksiądz Glasberg wysłał nas do Orgelet w górach Jura, niewielkiej miejscowości, w której miał znajomego lekarza. Lekarz ten powiązany był z francuskim Ruchem Oporu. Zatrzymaliśmy się u niego we dworze. Jego żona była kiedyś u niego służącą. Pojawiliśmy się tam, ja elegancko ubrana, i mieliśmy u nich pracować. Ja miałam być służącą, a mój mąż ogrodnikiem. Tak nas przedstawiono. Żonie lekarza od razu nie spodobałam się. Przede wszystkim nie wyglądałam jak służąca. Do moich obowiązków miało należeć prowadzenie domu, czyli palenie pod kuchnią, gotowanie, pranie, sprzątanie i zajmowanie się zwierzętami, między innymi dojenie krów. Były to wszystkie czynności, których nigdy w życiu nie wykonywałam. Oczywiście, zapewniłam doktorową, że potrafię gotować, chociaż miałam na ten temat mgliste pojęcie. We dworze lekarza były dojne krowy, hodowano barany, kury i króliki. Wszystkim tym miałam się zająć. Problemy zaczęły się już pierwszego poranka, gdy zadzwoniono na mnie, żebym wstała o godzinie 6.00 rano. Moją pierwszą czynnością było rozpalenie pod kuchnią. Ogarnęło mnie przerażenie, ponieważ ta francuska kuchnia była zupełnie inna od polskich, a ja nawet pod polską kuchnią nigdy nie rozpalałam ognia. Poprosiłam mojego męża o pomoc. Udzielił mi rady jak mam to zrobić, ale i on posiadał na ten temat tylko teoretyczną wiedzę. Powiedział, że mam podłożyć węgiel, potem jakieś papiery i rozpalić. Spaliłam kilkanaście zapalek i nic z tego nie wychodziło. Dopiero, gdy pojawił się lekarz i zorientował się, że ja na tym się nie znam, pomógł mi rozpalic ogień i pokazał, jak to powinno się robić prawidłowo. Z gotowaniem posiłków też było kiepsko, a jeżeli chodzi o pranie, to wcześniej prałam jedynie swoje pończochy. Żona lekarza wszystko to widziała i była bardzo niezadowolona. Od razu zorientowała się, że nie jestem żadną służącą. Jedyne, co jej się podobało, to moje sprzątanie. Potrafiłam ustawiać drobne rzeczy na meblach z większym gustem, niż ona. Kolejną tragedią było dojenie krów. Tego też nigdy nie robiłam, a poza tym krowy przerażały mnie. Przez cały czas bałam się, że któraś mnie kopnie lub uderzy ogonem. Za całą pracę, którą mieliśmy wykonywać u tego lekarza, nie dostawaliśmy żadnego wynagrodzenia. Mieliśmy tylko tam mieszkać i żywić się. Lekarz, działający w partyzantce, też zorientował się, że nie możemy u niego zostać. Jego żona w ogóle nie orientowała się, że jesteśmy Żydami, a że mnie nie lubiła, więc gdyby wszystko się wydało, mogłoby dojść do tragedii. Natomiast jej mąż wiedział, że jesteśmy Żydami. Po trzech dniach zadzwonił do aptekarza w Arinthot, również w miejscowości położonej w Jurze. Tam już było zdecydowanie inaczej. Nie byłam traktowana jak służąca, chociaż u rodziny aptekarza prowadziłam dom. Byli to bardzo dobrzy ludzie. Sądzę, że aptekarz też działał w ruchu oporu i dlatego przyjął nas z polecenia lekarza. Aptekarka doskonale orientowała się, że nie mam żadnych kwalifikacji do prowadzenia domu. Oficjalnie byłam zatrudniona u niej w końcu jako służąca. Wyczuwałam, że wolałaby mnie zwolnić. Zdecydowałam się więc przenieść do starszej pani, która była krawcową od przeróbek.

Pewnego razu ta pani, u której mieszkałam, zabrała mnie ze sobą do lasu. Okazało się wtedy, że

pomaga partyzantom. Nosiła im jakieś paczki. Zdarzyło się jednak, że pani ta zachorowała. Poprosiła mnie wtedy, żebym ja poszła z paczką do lasu na umówione miejsce. Podała mi hasło i na to hasło miałam oddać zaufanej osobie paczkę. W lesie zatrzymano mnie, podałam hasło, oddałam przesyłkę. Wszystko odbyło się tak, jak było umówione. Bez przeszkód wróciłam do miasteczka i dopiero tu wydarzyła się niespodzianka. Miejscowi chłopcy zatrzymali mnie na ulicy i powiedzieli mi, że w tym czasie, gdy wyszłam do lasu, do mieszkania panny Renoix, u której mieszkałam, przyjechali Niemcy i zastrzelili ją w łóżku. Chłopcy powiedzieli mi, że powodem był fakt, że przetrzymywała mnie jako Żydówkę. Do dzisiaj myślę o tym, że zginęła przeze mnie, że w jakimś sensie jestem temu winna i mam ją na sumieniu.

Data i miejsce nagrania	2001-12-01, Lublin
Rozmawiał/a	Robert Kuwałek
Transkrypcja	Robert Kuwałek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"